

Z Medycznym Klubem Turystycznym

Podróż dookoła Polski

Nowy pomysł na ciekawą imprezę rowerową zakiełkował w Medycznym Klubie Turystycznym z mojej inicjatywy w ubiegłym roku, gdy byliśmy jeszcze zachwyceni wspaniałymi wrażeniami, jakich dostarczyły nam rowerowe wojaże po przygranicznych regionach Ukrainy, Węgier i Słowacji.

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCyny WSI
W LUBLINIE

Pomysł objechania Polski rowerem wzdłuż jej granic nie jest oczywiście nowy – funkcjonuje nawet w regulaminie odznak turystycznych PTTK, jako Wielki Rajd Dookoła Polski. Niektórzy z członków MKT mieli już okazję w ramach różnych imprez kolarskich zaliczyć niemal wszystkie warunki tej trasy; moja idea była jednak nieco inna. Korzystając z możliwości terenowych roweru górskiego chciałem, abyśmy zjeź-

dźali z szos i nielicznych ścieżek rowerowych w teren, dużo bliżej granicy niż miejscowości kontrolne regulaminu PTTK.

Oczywiście, o przejeździe rowerem idealnie „dookoła Polski” drogą graniczną nie może być mowy – nie tylko ze względów technicznych, ale i prawnych. Jest to po prostu zabronione. Założeniem rajdu jest więc przejazd jak najbliżej granicy i, aby trasa podstawowa nie oddalała się od niej na więcej niż 5 km, regularne dojeżdżanie do kontrolnych słupków granicznych. Takie założenia powodują znaczne nakładanie drogi, wymuszają pokonywanie trudności terenowych i obciążenie

rowerów sprzętem biwakowym oraz wymagają rozłożenia rajdu na kilka etapów (trasy wystarczy na kilka lat), ale ma też niewątpliwe zalety. Rajd taki umożliwia zobaczenie odludnych, zapomnianych i egzotycznych miejsc, zwykle omijanych przez turystów rowerowych. W pewnym sensie, ze względu na znacznie mniejsze tempo jazdy, tego rodzaju trasa szosowo-terenowa upodabnia się do rajdu pieszego.

Moim zdaniem, i chyba nie tylko moim, pomysł okazał się trafiony w dziesiątkę. Wrażeń, które przyniosła nam ta eskapada, nie da się wycenić: niezliczone, prześliczne cerkwie, wspaniałe, nieznane przygraniczne odludzia; nostalgiczna Dolina Bugu i resztki Grodów Czerwieńskich; ruina zamku w Kryłowie; lasy, wzgórza i bunkry wschodnioroztoczańskie; forty Twierdzy Przemyśl i kresowe nastroje rzeki Wiary; czy podjazdy i zjazdy bieszczadzkiego pogórza. Wbrew naszym obawom okazało się, że można jeszcze w Polsce pięknie zabiwakować pod namiotami i przy ognisku. Nie przeszkodziła nam w tym nawet temperatura spadająca w nocy znacznie poniżej zera!

Granice i kordony

Wykroiwszy 10-dniowy urlop w maju, na pierwszą, inauguracyjną edycję rajdu „Dookoła Polski z MKT”, udało się nas czworo: **Alicja Rokicka, Piotr Paprzycki, Mariusz Nowak i Grzegorz Durak**. Na części trasy w obrębie Roztocza (Kryłów – Chłopiatyn oraz Węchrata – Susiec) wsparcia udzielili nam prezes **Paweł Krawczyk** i prof. **Janusz Milanowski**.

Aby przejechać 520 km od Gródka Nadbużnego pod Hrubieszowem do przejścia granicznego Krościenko koło Ustrzyk Dolnych, wystartowaliśmy

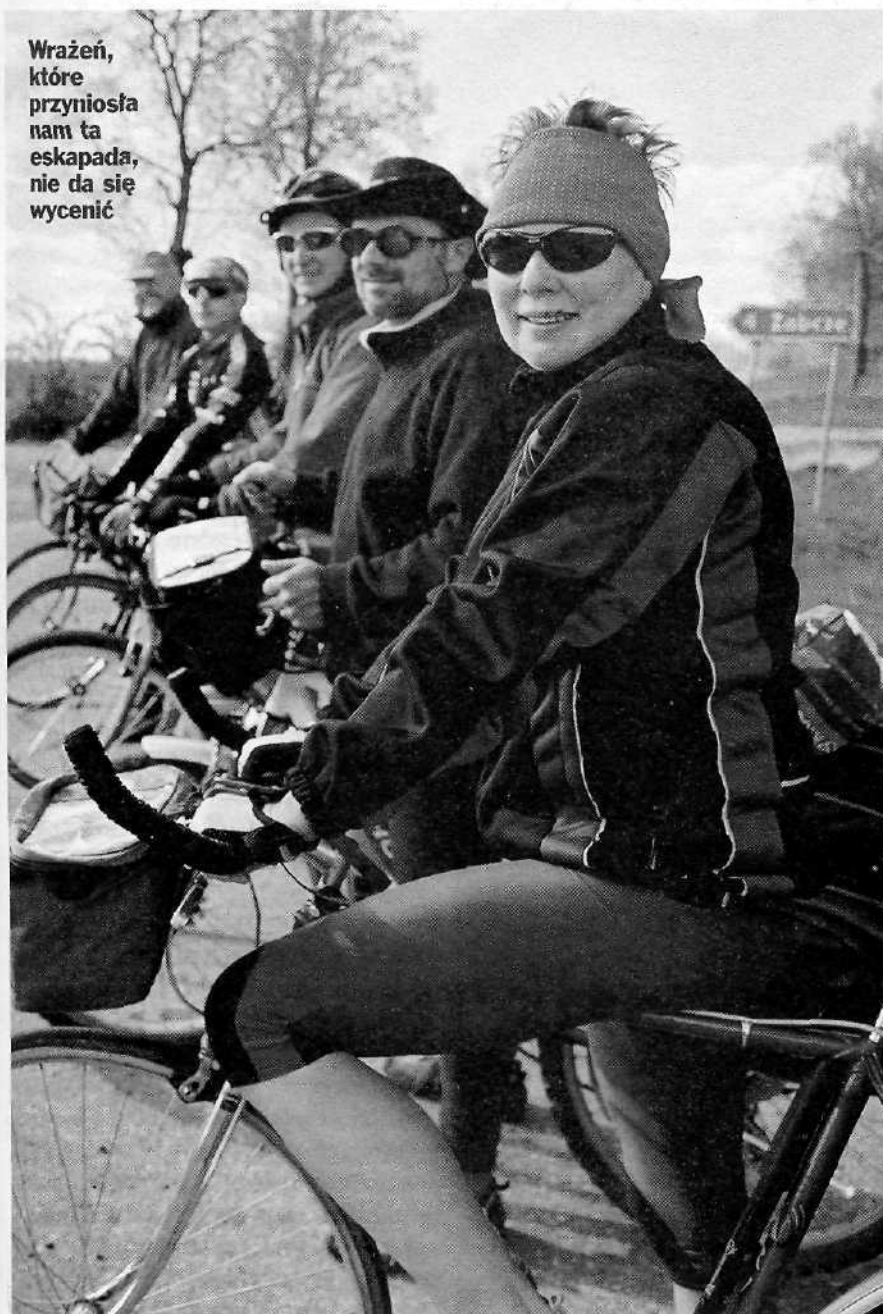
do granicy drogą dość okreśną z Chełma. Za radą Ali i Grześka, w których domku na Działach Grabowieckich odbyła się bojowa narada, zdążyliśmy jeszcze obejrzeć zabytki Wojsławic i Uchań. Drugie odchylenie od zaplanowanej trasy spowodowało też zaproszenie prezesa do obejrzenia części Roztocza Wschodniego, ciągnącego się aż do Suśca – znanej, roztoczańskiej miejscowości letniskowej.

Fragment granicy Polski, wzdłuż którego jechaliśmy, ma swoją krótką, ale burzliwą historię. Linia ta jako granica całkowicie suwerennego państwa polskiego funkcjonuje dopiero od mo-

mentu ostatniej polskiej transformacji ustrojowej. W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej (XV-XVI wiek) jedynie na niewielkim odcinku między Horodłem i Hrubieszowem, gdzie Bug wykręca wielką pętlę ku wschodowi, rzeka oddzielała Koronę Królestwa Polskiego (Ziemia Bełska województwa ruskiego) od Wielkiego Księstwa Litewskiego (województwo wołyńskie). Po Unii Lubelskiej, kiedy Wołyń przyłączono do Korony, nawet ten fragment przestał być granicą państwową.

W czasie rozbiorów oświeceni i absoluci sąsiedzi wytyczyli sobie nowe granice, lekceważąc lokalne podziały administracyjne i etniczne, ale opierając się na wygodnych granicach naturalnych. Cesarstwo Austro-Węgierskie na prawie 100 lat oddzieliło Wał Roztocza od Królestwa Kongresowego, będącego częścią Rosji. W odrodzonej II Rzeczypospolitej do wspomnianego fragmentu granicy polsko-litewskiej na Bugu nawiązała granica województwa lubelskiego i wołyńskiego, za to jadąc dalej na południe w kierunku Karpat, przejeżdżalibyśmy przez sam środek wielkiego województwa lwowskiego. Trzeba przyznać, że pomysł przybliżonego do dzisiejszego biegu granicy (a więc i na-

Wrażenie, które przyniosła nam ta eskapada, nie da się wyycenić



Na następne edycje rajdu „Dookoła Polski z MKT” czekają najpiękniejsze polskie góry, lasy i pojezierza granicy niemieckiej, wybrzeże Bałtyku i Mazury



Przed kościołem w Uchan

szej trasy) został wymyślony na papierze przez polityków Zachodu w roku 1920, a doczekał się realizacji rękami Stalina po II Wojnie Światowej. Granicę etniczną polsko-ukraińską/ruską utworzył w tym przebiegu dopiero tygiel II Wojny Światowej i nieodłącznie związane z tym faktem zupełnie niezasłużonej krzywdy milionów ludzi z obu stron. Ostatnia poprawka miała miejsce w 1951 roku, kiedy to za żyzne czarnoziemi w okolicach Betza, skry-

wające pokłady węgla kamiennego, otrzymaliśmy w prezencie fragment Bieszczadów z Ustrzykami Dolnymi.

Gdy zbliżaliśmy się do granicy pod Hrubieszowem przez wiosenne pola Działów Grabowieckich – dużo wcześniej niż oznaczenie strefy granicznej – zaczęły się pojawiać oznaki innych, dzisiaj obcych nam tradycji, które przepływały się tu z kulturą polskiej elity. Z jednej strony oglądaliśmy cenny, renesansowy kościół w Uchaniach fun-

dacji prymasa Polski Jakuba Uchańskiego – sybaryty i wielkiego przyjaciela Zygmunta Augusta, dla którego chciał odłączyć polski kościół od Rzymu. Z drugiej strony zwiedzaliśmy ceglana cerkiew w Wojsławicach wybudowaną dla ruskich chłopów, których do unii z Rzymem przymuszano na siłę. Aby jeszcze bardziej zaplątać się w etnicznych niuansach, nie opodal stoi piękna synagoga wyznawców starożytnego zakonu, których od wiary ojców chciał tutaj odciągnąć heretycki mesjasz Jakub Frank.

Naszymi towarzyszami w drodze były oczywiście słupki graniczne, a numery na nich odliczały nam drogę na południe – w kierunku słupka z numerem 1, położonego na styku granic Polski, Ukrainy i Słowacji. Ślady pierwszego z konfliktów żywiołów polskiego i ruskiego powitały nas już przy słupku granicznym nr 874 – oficjalnym punkcie początkowym pętli naszego rajdu. Nad nieużytkami odludnych dolin Bugu i Huczwy, na niebywale stromej skarpcie wznoszą się tutaj resztki grodu Wołyni, który dał nazwę samej krainie i jej ruskim mieszkańcom, gospodarującym na tym terenie na zachód aż po rzekę Wieprz.

Przy łagodnym słońcu wieczoru, zupełnie sami, patrzyliśmy z wałów Wołynia na miejsce, gdzie prawdopodobnie Bolesław Chrobry forsował Bug, pokonując wojska księcia Jarosława (jeszcze wtedy nie-Mądrego) w czasie wyprawy kijowskiej. Dzisiaj w tym miejscu, przez most na Bugu, granicę przekracza dobrze widoczna, słynna „linia hutniczo-siarkowa”. Zapewne w celu zagrozenia drogi innym potencjalnym interwentom postawiono po ukraińskiej stronie gigantyczną, białą figurę wojowniczej dziewczyny (?).

Po śladach etnicznych czystek

Ponieważ zbliżała się pierwsza na trasie noc, szukaliśmy miejsca na biwak. Z daleka przyciągnęła nas wieża pałacyku w nadbużańskim Czumowie, którego park bezlitośnie wyrabiali niemieccy strażnicy graniczni w 1939 roku. Noc upłynęła nam nad pałacowym stawem pełnym bobrów. Przy tej okazji chcemy podziękować właścicielowi lewej połowy pałacu za możliwość zabiwakowania i za worek świe-

**Założeniem
rajdu jest
przejazd jak
najbliżej granicy
państwa tak,
aby trasa
podstawowa nie
oddalała się
na więcej niż
5 km, regularne
dojeżdżanie
do kontrolnych
słupków
granicznych**





Po noclegu pod pałacem

zych bułek na kolację. Życzymy zdrowia, takiego jak dotąd i czasu na realizację wspaniałych planów ożywienia tego miejsca, bo naprawdę warto.

Zalegająca płytko pod lessem twar-
da kredowa opoka sprawia, że Bug
weina się tu głęboko, tworząc przełom
o stromych ścianach. Szczególnie do-
bry punkt widokowy wprost zmusił
nas do postoju następnego dnia w po-
bliskim Ślipsezu, przy słupku granicz-
nym 857. Bug wyczynia tu 3 karkołom-
ne zakręty tam i z powrotem, żłobiąc
prawdziwy jar w białej wapiennej ska-
le, zupełnie jak te oglądane przez nas
w czasie wojaży na Podolu.

Po niegdyś ludnych wsiach, rozsia-
dłych nad tymi brzegami po obu stro-
nach, dziś pozostały tylko zdziczałe sa-
dy i doły po piwnicach. Współczesne
osiedla często dziedziczą po poprzed-
nikach tylko nazwy. Prawdziwa kata-
strofa wojny polsko-ukraińskiej roze-
grała się właśnie tutaj i była znacznie
bardziej krwawa i absurdalna na Hru-
bieszowszczyźnie niż w sławnych Biesz-
czadach. W tutejszych przemieszanych
etnicznie wsiach, od momentu prze-
jęcia armii niemieckiej w 1941 roku,
funkcje administracyjne i policyjne
sprawowali popierani przez Niemców

Ukraińcy. Współdziałały z nimi regu-
larne oddziały ukraińskiej partyzant-
ki nacjonalistycznej UPA oraz, co gor-
sza, nieregularne, czasem uzbrojone
tylko w narzędzia rolnicze, a fanatycz-
ne i nieświadomione tak zwane Od-
działy Ukraińskiej Samoobrony Na-
rodowej. Los ludności polskiej, ale
i Ukraińców nie chcących współpra-
cować z nacjonalistami, był nie do po-

zazdroszczenia. Szczególnie zła sytu-
acja rozpoczęła się w 1943 roku, kie-
dy Organizacja Ukraińskich Nacjona-
listów zaczęła realizować formalne
czystki etniczne, które spowodowały
ucieczkę, wysiedlenie lub po prostu
wymordowanie miejscowych Polaków
i spalenie polskich wsi. Wobec takich
wydarzeń nieliczne polskie oddziały
partyzanckie BCH i AK podjęły naj-



Bicie rekordu prędkości...

pierw próbę ochrony i ewakuacji ludności na zachód, a potem same rozpoczęły odwetowe pacyfikacje wsi ukraińskich (!). Na koniec, wśród zgłiszczy zniszczonych wiosek, pozostali tu właściwie tylko partyzanci obu stron i ukraińska policja.

Aż dziw bierze, że po takich monstrualnych wzajemnych krzywdach, obie strony jeszcze chciały ze sobą rozmawiać w obliczu zagrożenia przez nowego, tym razem wspólnego wroga. Prawdziwym kuriozum staje się fakt, że właśnie w Hrubieszowie miała miejsce największa i najsłynniejsza wspólna akcja UPA i WiN przeciwko komunistycznej administracji – chyba nie tylko Polak był mądry po szkodzie.

przykładem jest anegdota o kupieniu zamkowej wyspy za flaszkę wódki od radzieckich pograniczników.

Uzyskane wzmocnienie spowodowało natychmiastowe przyspieszenie dość ospałego dotąd tempa naszego rajdu – głównie na skutek beznadziejnej rywalizacji kolarskiej prezesa z Mariuszem Nowakiem. Prezes oczywiście przegrał, ale dzięki temu do pobliskiego już Dołhobyczowa dopadliśmy migiem. Dalej było jeszcze lepiej, na polnej wyboistej drodze pod Mycowem nasz rajd pobił własny rekord prędkości w terenie pod obciążeniem – 42 km/h.

Klasykistyczny dwór w Dołhobyczowie, spalony po wojnie, miał szczęście

nowego Defendera i odpowiednio odstraszonego wilczura. Koniecznie musimy pochwalić profesjonalizm Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej, który nie tylko odpowiedział telefonicznie i e-mailem na nasze zawiadomienie o rajdzie, ale też udzielił wszystkich potrzebnych informacji kontaktowych i dał o nas znać do strażnic na trasie przejazdu.

Wśród zapomnianych cerkwi

Tymczasem ruszamy dalej w boczne drogi, aby zobaczyć pierwszą drewnianą cerkiew na naszym granicznym szlaku, w Dłużniowie. Widzieliśmy ich potem tak wiele, że mylą mi się już nazwy miejscowości, bo „krajną zapomnianych cerkwi” wbrew powszechnej opinii jest właśnie południowo-wschodnia Lubelszczyzna a nie Bieszczady. Były one jeszcze do niedawna aż tak zapomniane, że niektórych, jak ciekawej cerkwi w Mycowie z dobrze zachowanymi resztkami cmentarzyka nie można było znaleźć z powodu otaczających ją niebotycznych krzaków. Trzeba docenić wysiłek ludzi, którzy zapewne w części bez wynagrodzenia, doprowadzali cerkiew do obecnego stanu, niezależnie od motywów, które nimi kierowały. Za następną ciekawą cerkwią w Chłopiatynie nasi towarzysze etapu opuścili nas na rozdrożu, obiecując następnego dnia spotkanie w Werchracie. Dalej, ponownie we czwórce, mijając kolejne cerkiewki jechaliśmy, po zaskakująco dobrej, nowej, unijnej szosie, w kierunku Tarnoszyna (stąd właśnie przeniesiono cerkiew do lubelskiego skansenu) i rozpoczęliśmy poszukiwania miejsca na biwak. Towarzyszył, nam widok na dolinę Sołokii z „miasteczkiem Bełz” na południu i daleki jeszcze wał Roztocza na południowym wschodzie.

Po gorącym dniu, wieczorny chłodny wiatr z północnego zachodu, przyniósł nieoczekiwany nocny przymrozek. Gdyby nie pomoc Pana Leśniczego oraz jego psów i kotów we wsi Szczepiatyn (słupek graniczny 689), czekający nas biwak nie byłby zbyt ciekawy z przyczyny zepsutej kuchenki gazowej. Dzięki niemu popijaliśmy gorącą herbatę i zjadaliśmy smażoną kiełbasę z cebulą, a żaden mróz nie był nam już straszny.



Leśna cisza
zaprasza do
odpoczynku

Tymczasem nasza eskapada – dzięki Bogu w nieco spokojniejszych czasach dotarła – pod sklepik w Krylowie, gdzie oczekiwało już na nas niecierpliwie wsparcie z Suśca w osobach prezesa i profesora J. Milanowskiego. Nie zwlekając, ruszyliśmy razem zaliczyć kontrolny słupek graniczny 835 na wyspie kryłowskiej, który stoi tuż obok ostatniego bastionu z ruin zamku Ostrogów. Supernowoczesna w swoim czasie forteca skonstruowana przeciw „Scytom” (tzn. Moskalom i Tatarom), dzisiaj pełni straż nad gospodarstwem kilkudziesięciu bobrów i jest atrakcją wycieczek weekendowych turystów zwabionych opowieściami świętej pamięci Profesora Wiktora Zina, których

i został odbudowany. Niestety, jego utrzymanie przerosło inwestorów i do dziś dwór straszy pustką. Nas zainteresowały szczególnie piękne czerwone buki w pałacowym parku oraz ładny kościół, udatnie naśladujący krakowski gotyk. Mieliśmy również okazję zjeść i wypić w lokalnym barze w towarzystwie nieco znudzonej miejscowej „bohemy”. Ludzie tu, jak i na całej naszej trasie, byli dość spokojni i zawsze życzliwie zainteresowani, bo grupy rowerowych turystów nadal stanowią rzadkość na wschodnim pograniczu.

Być może na Euro'2012 będzie w Dołhobyczowie przejście graniczne. Na razie jednak jest tylko szlaban i sympatyczny strażnik, wyposażony w tere-

Następnego dnia wiatr jeszcze się wzmógł i pomimo słońca wciąż było zimno. Porywy wichury dały się nam mocno we znaki i peleton bardzo się rozciągał. Przyszło mi do głowy, że nawet teraz cierpimy z winy wrednego Stalina, ponieważ wiatr wieje nam w twarz z powodu równoleżnikowego w tym miejscu przebiegu granicy wykrojonej w 1951 roku. Nie nastrajały też pozytywnie mijane artefakty historii jak maleńki pomniczek milicjanta zabitego pod Machnowem. Niestety śmierć tysięcy i postawione „ku czci” pomniki nie przemawiają do ludzi tak dobrze, jak taki samotny grób. Nawet nie znamy okoliczności tej jednej ludzkiej tragedii, ale wyobraźnia już pracuje: noc, wiejska droga, może planowa egzekucja, tylko jeden strzał...

W pobliskim lesie cisza od wiatru zaprasza do posiłku i odpoczynku, wyglądamy się bez zbytniego pośpiechu, a 50 lat temu nie byłoby tu tak sielsko. Jechalibyśmy przez pustkowia pomiędzy zamieszkałym przez Polaków Machnowem a ukraińskimi Korniami, i nie wiadomo czy zza sosenek nie wyłoniłyby się zwolennicy innego niż nasz poglądu na „odwieczną” przynależność państwową tego lasu. Jak to wszystko jest względne mogliśmy zobaczyć we wsi za lasem przy następnej zabytkowej cerkiewce. Ludzie, których do niedawna nazywaliśmy bandytami z UPA, na tutejszym cmentarzyku są „bohaterami ze wsi Kornie poległymi w walkach o wolność Ukrainy w latach 1942-1947” – tak głosi napis pod pomnikiem z ukrzyżowanym tryzubem w drucie kołczastym.

Wkraczaliśmy niepostrzeżenie na Ruś. Minęliśmy właśnie ową dawno już zapomnianą granicę Galicji i Kongresówki, którą częściowo naśladuje obecna granica województw lubelskiego i podkarpackiego. Coraz bardziej strome podjazdy wyraźnie dawały znać, że z Kotliny Hrubieszowskiej wspinamy się na Roztocze.

Następny postój zorganizowaliśmy już w Hrebennem. Uciążliwy ruch samochodowy, ciężkie maszyny drogowe rozkopujące obwodnicę, codzienne setki, niekoniecznie sympatycznych ludzi przekraczających granicę polsko-ukraińską, to niezbyt zachęcający widok. Na szczęście tuż obok no-

wego terminalu granicznego, na wysokim wzgórzu stoi ukryta w drzewach przepiękna cerkiew, odremontowana i wciąż jeszcze użytkowana zgodnie z przeznaczeniem. Tylko nieliczni, zauroczeni krajobrazami miłośnicy spokoju znajdują czas, aby odwiedzić świątynię, a już tylko wyjątkowo zauważa jak niemal symbolicznie wygląda stąd przejście graniczne – wschodnia forpoczta Zjednoczonej Europy.

Po obejrzeniu skamieniałych mioduńskich drzew w Siedliskach sprzed 10 milionów lat i ich żywych nieco młodszych krewniaków (pomnikowe dęby siedliskie są naprawdę imponujące), zbaczamy do granicy w Prusiu, w którym stoi koleina drewniana cer-

rdzewiała, ale mocna jeszcze blacha dachowa wydają się chronić ją od zupełnej ruiny. Zapomniana przez turystów – bliskość turystycznego obszaru Roztocza robi swoje. To jedyny fragment trasy, gdzie spotykaliśmy także innych rowerzystów.

Wojny celowo niepamiętane

Następnego dnia wracamy do granicy bardzo pokrętą drogą. Zanim dotrzemy wieczorem do Horyńca, wjeżdżamy jeszcze rowerami na Wielki Dział – najwyższe wzniesienie Lubelszczyzny (390 m n. p. m.). Nie jest to wcale szczyt łatwy dla rowerzystów, nie z powodu wysokości, ale zabójczych



kiew, aby zaliczyć następny słupek graniczny. Potem odbijamy na zachód do Werchraty, gdzie tuż pod wielką mурowaną cerkwią, która dziś jest kościołem, ponownie spotkamy naszych towarzyszy. Tym razem na zaproszenie prezesa zrobimy wyjątek i zajedziemy daleko od naszych słupków do Suśca, aby do granicy powrócić następnego dnia w Horyńcu.

Po drodze do Suśca, gdzie przy kominu i dobrym winie u prezesa będziemy tego wieczoru dzielić się wrażeniami i zdjęciami, zajeżdżamy jeszcze do jednej małej cerkiewki. Świątynia w Woli Wielkiej wciśnięta jest razem z cmentarzykiem pomiędzy zabudowania wsi i tylko stemple i za-

piachów na drodze. Z konieczności okresowo „spieszeni”, zaliczamy wreszcie połogi grzbiet i dość nieoczekiwanie odnajdujemy dobrze zachowany wielki radziecki schron bojowy Linii Mołotowa. Beton przypomina nam, że właściwie tu przebiegała granica z 1940 roku, a łuk pozostałości po sowieckiej linii obronnej na odcinku rawsko-ruskim wchodzi na obecne terytorium polskie daleko na północny zachód od Hrebennego i Horyńca. Rozrzucone w lasach i polach Wschodniego Roztocza ponure ślady sowieckiej okupacji nie były przez lata eksponowane, bo i nie było się czym chwalić. Wygodniej było nie pamiętać, że wojska Związku Radzieckiego aż stąd zostały w ciągu

pół roku odrzucone pod Moskwę. Umocnienia miały właściwie służyć nie uporczywej obronie, ale raczej jako podstawa do uderzenia bohaterskiej Armii Czerwonej, które miało wyzwolić ludy Europy, nie były więc odpowiednio wyposażone, a czasem nawet zostały źle obsadzone przez wykwalifikowaną załogę. Niestety Hitler jako pierwszy zorientował się, że może zostać „wyzwolony” przez dotychczasowego sojusznika i uderzył pierwszy.

Pomnik innej zapomnianej bitwy znalazł się na naszej trasie, kiedy przyszło nam zaliczyć słupek 499, który karys historii postawił na przeciwskarpie fortu Salis Soglio w twierdzy przemyskiej. Fort artyleryjski, noszący nazwisko szwajcarskiego budowniczego-fortyfikatora jest miejscem uczęszczanym przez autokarowe wycieczki. Większość turystów dopiero tutaj dowiaduje się, że obrona Przemyśla w 1915 roku, była największym oblężeniem w historii I Wojny Światowej. Mało kto zdaje sobie sprawę, że wysiłek żołnierzy austro-węgierskich włożony w wielomiesięczną obronę, umożliwił zatrzymanie Rosjan na drodze do przełęcz karpackich i Wiednia, a następnie ich odrzucenie. Car rosyjski utracił tym sposobem szansę na szybkie wygranie wojny, a epilogiem obrony Przemyśla stała się... Rewolucja Październikowa.

Forty twierdzy przemyskiej, jak oglądane przez nas Borek i Salis Soglio są częściowo uporządkowane i oczyszczone z roślinności, dzięki położeniu jak przystało na dzieła obronne na wzgórzach stanowią także wspaniałe punkty widokowe, co sami sprawdziliśmy.

Na skraju Rostocza

Błąkając się między bunkrami Linii Mołotowa dotarliśmy na wielką śródleśną polanę, gdzie poszukiwane przez nas ślady po wsi Stare Brusno, krył gęsty las. W zamierzonych czasach wspólnego bytu Polaków i Rusinów wieś słynęła z licznych warsztatów kamieniarskich. Setki typowych „krzyży bruśnieńskich” zaludnia dziś zdewastowane galicyjskie cmentarze. W lesie, wśród łąnów fioletowego barwinka, po którym zawsze poznać można miejsce po cmentarzu, obejrzelśmy zwałisko po cerkwi i kolekcję pięknej rzeźby nagrobkowej.

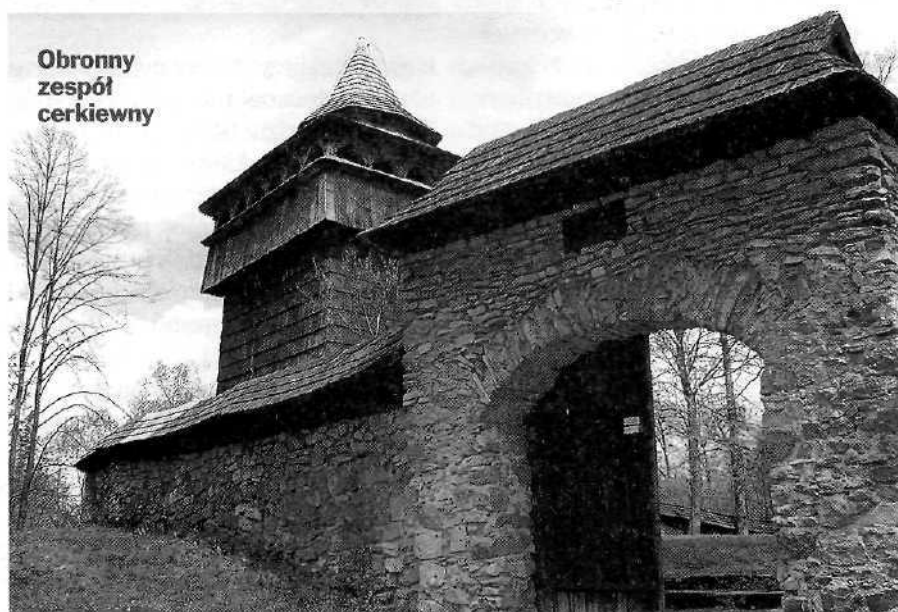


Wieczór, zachodzące słońce, ukryty cmentarz i przydrożny krzyż, niegdyś pewnie przy wjeździe do bogatej wsi – to wszystko nastrajało do skojarzeń o przemijaniu. Jesteśmy przecież na terenie administratury apostolskiej w Lubaczowie, ostatniego skrawka arcybiskupstwa Lwowskiego, jaki pozostał w polskich powojennych granicach. Tutaj dokonał posługi życia wygnany ze swojej metropolii arcybiskup lwowski Eugeniusz Baziak. Ale przecież arcybiskup łaciński znowu zasiada we Lwowie... może więc stare minęło nie na darmo.

Robiło się tymczasem coraz zimniej i mimo zmęczenia nacisnęliśmy moc-

niej na pedały, by dobrze zjeść ciepłą kolację i tym razem noc spędzić nie w namiotach, ale w łóżkach, korzystając z możliwości uzdrowiska Horyniec. Tego dnia temperatura spadła przy ziemi do -7 stopni Celsjusza, mróz zmasakrował pięknie kwitnące drzewa owocowe, na co szczególnie żyzna była nasza gospodyni. Na szczęście znaleźliśmy u niej ciepły kątek, gdzie mogliśmy spokojnie pogadać przez pół nocy i zastanowić się nad dalszą trasą.

Na południowy wschód od Horyńca, nieopodal granicy (słupek 607) wznosi się jedna z najpiękniejszych polskich cerkwi drewnianych – kompleks obron-





**I co dalej?
Wspaniałe
dotychczasowe
wrażenia dają
podstawy
sądzić, że za
rok będzie
jeszcze
ciekawiej**

ny świątyni św. Paraskewii w Radru-
żu. Aż cud, że ta 400-letnia perelka architek-
tury przetrwała dziejowe zawie-
ruchy i powojenne zaniedbanie (może
z powodu bliskości znanego uzdrowi-
ska) i cieszy teraz ludzkie oczy. Za Ra-
drużem znowu zagłębiliśmy się w roz-
toczański las i przyznam – trochę po-
błądziliśmy. Ala i Grzesiek mogli po-
nownie pokazać hart ducha przepychając się przez przygraniczne bezdroża i piachy na swoich cieniotkich szo-
sowych oponach.

Szybko też zmęczenie skłoniło nas
do zatrzymania się w miejscu, które
na mapie nazywało się „czerwona fi-

gura” (rzeczywiście stoi tu czerwony
krzyż, który w ludowej polszczyźnie
nazywa się też figurą). A tu zaskocze-
nie, z lasu natychmiast wyloniło się
dwóch dobrze zakamuflowanych zie-
lonymi płaszczami pograniczników, naj-
widoczniej zaczajonych na nieproszo-
nych przyjezdnych. Pomimo, że Biesz-
czadzki Oddział Straży Granicznej zupełnie zbagatelizował nasze zawiado-
mienie i nikt o nas nic nie wiedział
rozmowa ze strażnikami była miła i ra-
zem doszliśmy do wniosku, że mamy
podobne zdanie na temat dowództwa
BOSG. Panowie zaraz z kopyta ruszy-
li na swych ukrytych dotąd terenowych

motocyklach „robić wywiad we wsi”,
a i my posileni zupkami w proszku
znowu wskoczyliśmy na siodełka. Obok
puszczańskiego sanktuarium „pięciu
sosen”, których w ubiegłym roku o ma-
ło nie strawił pożar od pozostawionej
zapalanej świeczki, droga zaprowa-
dziła nas do małej świątynki w Wólce
Żmijowskiej.

To zupełnie przeciwieństwo Radru-
ża. Tej cerkiewki nie odwiedza chyba
nikt, stoi otwarta na oścież, a zniszczo-
ne paramenty i odpadająca płatami
polichromia są mocno przygnębiają-
ce. Ale właśnie ta cerkiewka najbar-
dziej utkwiła mi w pamięci, może przez
obraz odartego ikonostasu i będzie to
wspomnienie warte wysiłku i niewy-
gód rajdu rowerowego. W tym miej-
scu zegnało nas Roztocze. Wyjechali-
śmy na skraj wzniesienia skąd szeroki
widok ciągnął się już w stronę Bra-
my Przemyskiej i niewyraźnych jesz-
cze wzniesień pogórza.

Przed biwakiem zaopatrzyliśmy się
w sklepie w ciekawej miejscowości
o oryginalnej nazwie Wielkie Oczy (po-
lecam starą synagogę i nietypowej kon-
strukcji cerkiew). Jak zwykle po dłu-
gich poszukiwaniach dogodnego miej-
sca biwakowego i wybrzydzeniu sta-
naliśmy na noc na siedlisku po nieist-
niejącej zagrodzie, które miejscowi
nazywali „pod lipką” i był to niewąt-
pliwie najlepszy biwak tegorocznego
rajdu. Raczyliliśmy się wędzoną „pa-



**Mauzoleum
twórcy hymnu
narodowego
Ukrainy**

chwiną” z Wielkich Oczu z pieczarkami i cebulką z ogniska, śpiewali i rozmawiali do późnej nocy, póki nie zagnał nas do śpiworów tęgi mróz.

Dolina Wiaru

W 2005 roku, we wsi Młyny opodal przejścia granicznego w Korczowej prezydent Juszczenko osobiście odsłonił wielką kaplicę-mauzoleum nad grobem Mychajła Wierbyłoko (Michała Wierzbickiego?) – twórcy hymnu narodowego Ukrainy. Skorzystała na tym też wyremontowana pobliska cerkiew (szkoda tylko, że pokryta ordynarną cynkowaną blachą).

Po obejrzeniu tego monumentu pojechaliśmy dalej, ominąwszy, w słusznej odległości, Korczową i Medykę. Za fortami przemyskimi stromy zjazd z prawdziwym rozmachem (Mariusz przejechał nawet trochę za daleko...) rzucił nas w dolinę rzeki Wiar. Ta egzotyczna, mocno niesłowiańska nazwa pięknie kojarzy się ze wschodem i stepami Ukrainy jak Styry, Dniestr czy Dniepr.

Wiar płynący do Sanu był od Przemysła po Paclaw naszym stałym towarzyszem wśród wzniesień pogórza i choć dużą pętlą uciekł na Ukrainę po biwaku za Łuczycami, szybko powrócił na naszą stronę, aby sięgnąć gdzieś do swoich źródeł w górach za miejscowością Rybotycze. Dolina Wiaru jest głęboka, o stromych stokach porośniętych ciepłolubną, południową roślinnością. Czysta woda zachęcała do kąpieli nawet po mroźnej, oszronionej nocy.

W planie mieliśmy przekroczenie Wiaru po moście. Nieoczekiwanie niezgodnie z naszą topograficzną „setką” most na Wiarze (w okolicy słupka 485), który powinien być przy granicy znaleźliśmy już kilkadziesiąt metrów po stronie ukraińskiej (?). Jego całkowicie bezużyteczne usytuowanie i stan techniczny zdradza chyba przedwojenne pochodzenie. Dla nas oznaczało to konsternację i konieczność wycofania się wiele kilometrów. Po dość burzliwej dyskusji namówiłem jednak grupę na przeprawę w bród. Gorzej było ze znalezieniem dogodnego miejsca. Po kilkadziesiąt minut bezskutecznych poszukiwań, zdecydowaliśmy się przejść w dowolnym miejscu mimo dość stromego brzegu. Oczywiście wiązało się to z koniecznością wcią-



Forsowanie rzeki Wiar

gania rowerów i sakw na stromą skarpę, ale...

Pomimo, że tego dnia harmonogram był napięty, każda okazja dawała powód do zatrzymania się, na przykład pole kwitnącego rzepaku. Sam rzepak był na naszej trasie zawsze świetnym motywem fotograficznym, bo kontrastował z zielenią drzew i traw, a Mariusz fotografujący w żółtej koszulce National Geographic wśród rzepakowego pola był już zupełnie oryginalny. Upalnym popołudniem morderczy podjazd na zalesione wzgórze sanktuarium Kalwarii Paclawskiej zmusił wszystkich do zejścia z rowerów. Na krótkim odcinku serpentyny szosy pokonują tutaj 200 metrów wzniesienia.

Skoro jednak, jak twierdzą niektórzy, przyjechaliśmy na rajd dla przyjemności, nie można tego w żaden sposób uznać za pielgrzymią pokutę...

Na szczycie Kalwarii czekała nas godzinka leniwego odpoczynku. Przed emocjonującym zjazdem zrobiliśmy jeszcze ostatnie grupowe zdjęcie na tle rysujących się pięknie kolejnych pasm Gór Sanocko-Turczańskich i Bieszczadów. Tego dnia musimy dotrzeć w głąb gór na umówione spotkanie z prezesem – czeka nas drugi wyczerpujący podjazd, tym razem nieco mniej stromy, ale za to długi na 7 kilometrów.

Podjazd był rzeczywiście ciężki, odczuwamy już, choć nie wszyscy, kilkaset przebytych kilometrów. Podczas



Fotopolowanie w rzepakowym polu

gdy wysiłek naprawdę daje nam w kość, nasz rowerowy as – Mariusz Nowak, jako jedyny nie zsiada z roweru i załamuje mnie wyprzedzając przed samym końcem podjazdu. Pocieszam się, że teraz to już tylko w dół, bo tak wynika z mapy. O naiwni nieświadomi.

Mimo, że nie był to jeszcze finał wyprawy, odczuliśmy już nostalgię zakończeń. W dawnym ośrodku rządowym w Arłamowie czekał na nas prezes z rodziną, aby do domu zabrać Alę i Grześka, którzy musieli wracać nieco wcześniej. Żegnaliśmy wszystkich ze smutkiem i równocześnie z zadowoleniem ze wspólnie spędzonych dni. Zamknięcie rajdu przy samej granicy pozostanie już na barkach (właściwie w nogach) moich i Mariusza. A że nie będzie łatwo, przekonuję się dość szybko, kiedy po zjeździe z Arłamowa znowu trzeba podjeżdżać (sic!), na co brakuje mi już sił. Drepcząc okresowo obok roweru ociągamy się daleko za Mariuszem. To na pewno najdłuższy i najbardziej wyczerpujący etap naszego rajdu – do Krościenka docieramy dopiero tuż przed północą, przebijając się przez chmury nocnych owadów.

Zakończenie

Oto i przejście graniczne w Krościenku nad Strwiążem. Tutaj na wysokości słupka 372, po przejechaniu 500 km od Kotliny Hrubieszowskiej w Bieszczady zakończyliśmy I-szą edycję Rajdu Dookoła Polski z MKT. Teraz powrót do domu, a rowery zamieniamy na pociąg i to nie było takie „Przemytnik” – najstojniejszy pociąg Ziemi Sanockiej, to prawdziwy folklor sam w sobie. Przypadkowy turysta rowerowy w osłupieniu obserwuje ukraińskich „handlowców” upychających papierosy, gdzie tylko się da w całkowicie zdemolowanym wagonie i to na oczach konduktora. Tego dnia utarg był chyba słaby, trójka wyposażonych w latarki, lusterko i śrubokręt celników skutecznie wyczyściła pociąg ze wszystkich szkodliwych używek.

Sanok i Góry Słonne żegnają nas deszczem. Chwila czasu przed odjazdem pociągu pozwoliła nam jeszcze zajrzeć do muzeum na zamku, z niezrównanym zbiorem ikon i przejmującymi (żeby nie powiedzieć strasznymi) obrazami Zdzisława Beksińskiego.

go. Można też przysiąc na ławeczce z dobrym wożakiem Szwejkiem, choć ten czeski opój tu raczej nie pasuje.

I co dalej? Wspaniałe dotychczasowe wrażenia dają podstawy sądzić, że za rok będzie jeszcze ciekawiej. Na następne edycje rajdu „Dookoła Polski z MKT” czekają najpiękniejsze polskie góry, lasy i pojezierza granicy niemieckiej, wybrzeże Bałtyku i Mazury. Prawdopodobnie w przyszłym roku proporzycy Medycznego Klubu Turystycznego spróbujemy zawieźć wzdłuż północnego fragmentu granicy ukraińskiej, granic białoruskiej i litewskiej. Na pewno tym razem zabezpieczymy go lepiej, bo gdyby nie czujność Ali jadącej z tyłu nasz klubowy symbol dwukrotnie zostałby zgubiony. A byłaby szkoda, bo na każdym postoju wzbudzał ciekawość i pozwalał spotkać kolegów po fachu, jak na przykład sympatycznego lekarza z Leżajska spotkanego pod Przemyślem. Szkoda tylko, że jechał on samochodem. Jeśli kogoś skusi przyłączenie się do nas na rowerze – czekamy.

Fotografie:
Piotr Paprzycki, Mariusz Nowak, Paweł Krawczyk



Teraz powrót do domu, a rowery zamieniamy na pociąg i to nie było takie „Przemytnik” – najstojniejszy pociąg Ziemi Sanockiej, to prawdziwy folklor sam w sobie